

**Ryszarda Hanin** – podczas wojny żołnierz „babbatu”, kobiecego Batalionu Fizylierek im. Emilii Plater, została aktorką na mocy rozkazu wojskowego. Występowała w „Teatrze z Tęczą”, zespole teatralnym I Armii Wojska Polskiego. Miała role w spektaklach inscenizowanych przez Leona Schillera, m. in. była Nastką w „Na dzień”. Ogromną popularność zyskała dzięki teatrowi telewizyj (pamiętna rola Matki w „Niespodziance” Karola Huberta Roztworowskiego); w 1970 roku otrzymała Złoty Ekran. Zdobyły uznanie jej role filmowe, np. w filmie Stanisława Różewicza „Drzwi w murze” (Srebrna Muszla w San Sebastian), czy w filmie „Zofia” Ryszarda Czekajły (nagrody na kilku międzynarodowych festiwalach). Od wielu lat Ryszarda Hanin wchodzi w skład zespołu aktorskiego Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy oraz jest profesorem w warszawskiej PWST.



Zdjęcie: DOROTA BILSKA

## „Pani jest moją wielbicielką...”

– Kiedyś mówiła Pani o potrzebie teatru, a nawet o głodzie teatru. O niezwykłych reakcjach widowni w okresie tuż powojennym. Tymczasem dla wielu ludzi potrzeba teatru wydaje się mocno wątpliwa.

– Głód teatru nadal istnieje. Najlepiej dowód: miewamy w teatrach komplety nawet podczas największych upałów, czemu się sama dziwię. A że inaczej publiczność reaguje – to zrozumiałe. Gdyśmy zaraz po wojnie grali komedię Fredry „Stuby panieńskie”, ludzie płakali, zamiast śmiać się. To był płacz ze szczęścia. Bardziej liczyły się ich przeżycia, odczucia, niż to, cośmy dawali.

– Tamte doświadczenia rzutują chyba na Pani stosunek do zawodu, na wyobrażenie o tym, czym jest aktorstwo?

– Nie lubię używać wielkich słów. Jest to zawód tak trudny, tak gorzki, że, aby przy nim wytrwać, trzeba w coś wierzyć, w potrzebę tego, co się robi. Bo jeśli nie – to naprawdę są łatwiejsze sposoby zarabiania czy zdobywania popularności.

– Powszechna opinia jest jednak inna. Wasza praca jest łatwa i przyjemna.

– Ludzie widzą rezultat, a nie widzą drogi, jaką się do niego dochodzi. Oglądają nas na scenie, w telewizji, w filmach, już, że tak powiem, „gotowych”. Nie zauważa się tego, jak aktor się szmacocze. W innych zawodach doświadczenie sprawia, że człowiek czuje się pewny tego, co umie, świadomy tego, co umie. A tu, za każdym razem pojawia się konsternacja, rozterka, niepewność. Za każdym razem aktor, młody czy stary, zaczyna od zera. Do ostatniej roli w życiu przeżywa podobne stesy.

– Jakie, Pani zdaniem, są bariery najtrudniejsze do przekroczenia?

– Dla młodego aktora, młodego człowieka, ważne jest przezwyciężenie wstępu, zdobycie umiejętności odnajdywania w sobie tych cech, tych możliwości, które są potrzebne, a o których nawet się nie wie, czy się je ma.

Myślę, że nasze wieczne niepokoję biorą się z obawy, aby nie poprzestać na

tym, co się już wie, co się pozornie umie. Stąd konieczność poszerzenia empii, zdobywania nowych możliwości mówienia o różnych sprawach w inny sposób, nie zawsze ten, który wydaje się nam najbliższy. I dlatego, za wszelką cenę, trzeba zdobywać się nawet na ryzykowne kroki. W przeciwnym razie człowiek zamyka się w jakiejś szufladce i powiela ciągle to samo. To tak, jak taśmowa robota, jakby się jedną śrubką przykręcało przez całe życie.

– W takim razie reżyserzy filmowi stanowią zagrożenie dla aktora, zwłaszcza młodego. Stworzy ciekawą postać i już jest obsadzony w podobnych rolach w całej serii filmów.

– Starsi aktorzy mają czasem młodym za złe, że idą na wszystko. Ale przecież taki debiutant nie zna jeszcze siebie. Poza tym nie ma wielkiej możliwości wyboru. Jeżeli będzie czekał na nadejście swej wielkiej szansy, może przeczekać całe swe życie. Nie zawsze nadarza się stosowna okazja. A po iluś banalnych rolach może kiedyś trafić na to, o czym marzył i co powinien robić. Zresztą, ileż jest starszych aktorów i aktorów nieodkrytych, powiedziałabym. Wiem o drzemiących w nich możliwościach, których nikt nigdy nie odkrył. To jest sprawa szczęścia. Bo my nie decydujemy o sobie. My jesteśmy do wynajęcia. Tak jest zresztą na całym świecie.

– Każdy chciałby pracować w jak najlepszym zespole, z jak najlepszym reżyserem, a tymczasem młodych strofuje się za to, że wołają statystować w głośnym teatrze, niż grać Hamleta na wiejskiej scenie w małym ośrodku.

– Pobyt w dużym teatrze i tylko patrzeć na to, jak powstają tu dobre spektakle, niczego nie nauczy. Potrzebne są placówki. Bardziej oplaca się mieć duże role, nawet w wiejskich spektaklach, niż we wspaniałym wychodzić jedynie na sekundę, bo wówczas przestaje się umieć cokolwiek. Jeżeli aktor ma instynkt samoobrony, jakieś własne kryteria smaku, to się uratuje. Czasem je zatraci, jeżeli ciągle jest w złym towarzystwie. Ale co z tego, które ryzyko jest gorsze?

– Pani miała niezwykle szczęście. Pracowała Pani ze wspaniałymi artystami teatru.

– Proszę pani, po trzydziestu paru latach nazywa się, że ja miałam szczęście. To jest tak samo, jak z patrzaniem w telewizor, kiedy mówi się na widok roześmianej aktorki: „ta to ma dobrze”. Miałam bardzo trudne okresy w swojej tak zwanej karierze artystycznej, dlatego, że miałam właśnie przestoje. Nie było zapotrzebowania na typ, który reprezentowałam. Tylko, że miałam wido- cznie jakiś hart ducha, jakąś twardość, że nie popadałam w malkontentstwo, natomiast rozszerzałam, że tak powiem, swoje możliwości. Może szczęście polegało na tym, że niegdyś Jan Kreczmar zaproponował mi asystenturę w szkole teatralnej, więc tu miałam jakąś odskocznię. Może to i szczęście, że w ogóle lubię poezję, więc w trudnym okresie przygotowywałam całe recitale poetyckie, tym się zajmowałam. Potem zrobiłam zaocznie reżyserię, ucząc równocześnie. Czyli, jak to się mówi, nie dawałam się. I jak przechodziły lata tłuste, to te chude nie wycieńczyły mnie, nie wykańczały. Miałam jeszcze tę odporność psychiczną, która sprawiała, że trochę w siebie wierzyłam. A lata chude tworzą w człowieku tak potworną barierę nie do pokonania, że się przestaje w siebie wierzyć. I to już jest koniec. Bo wtedy już się nic nie umie. Po kilku latach przestoju w pracy następuje lęk przed wejściem na scenę, lęk przed publicznością, lęk przed kontaktem z kolegami na próbach. Jest u nas zjawisko martwych dusz w teatrach. Nie grają miesiącami, czasem latami, a biorą pensję. I ludzie z zewnątrz, cywile, mówią: no to świetnie, nic nie robi, jeszcze pieniądze bierze. A pani wie, że te aktorki (to są przeważnie aktorki, nie aktorzy) nigdy nie przychodzą po swoją gażę w dzień, kiedy się wypłaca pensję, tylko w inne dni, żeby nie spotkać kolegów. Są wstydy. Tworzą się psychiczne zapaści. Wtedy jest jedno wyjście: wyjście z zawodu.

– Może to po prostu naturalna selekcja. W zawodzie pozostają jednostki silniejsze i bardziej utalentowane.

– Powiedziałabym, że raczej kwestia przypadku, losu, a nie braku talentu.

– Bywają znaczne pomyłki w ocenie, czy ktoś ma talent aktorski. Podczas egzaminów wstępnych na waszą uczelnię zapewne staracie się wyłowić najzdolniejszych, a przecież...

– Zdarzają się pomyłki zarówno wtedy, kiedy przyjmujemy, jak i wówczas, gdy odrzucamy kandydata. Do Wojciecha Pszoniaka przypisana jest anegdota, że tak znakomity aktor, a nie dostał się do szkoły za pierwszym razem. Z przedwojennych Woszczerowicz nie dostawał się parokrotnie, o czym nam sam często opowiadał.

– Dowodem i miernikiem popularności jest chyba dla aktora ilość listów, jakie otrzymuje od nieznanym mu osób. Do Pani też pewnie piszą nieznajomi.

– Otrzymuję sporo takich listów. Są tam propozycje do grania, teksty od ludzi, którzy piszą monodramy. Już nie mówię o młodzieży, o tych, którzy proszą o autografy. Piszą: „Pani jest moją wielbicielką i proszę o fotkę”. Ale też dostaję wiele listów głębokich, wzru-

szających. Czasem znajduję bardzo wnikliwe analizy tego, co robię. Często ludzie w podeszłym wieku żądają ode mnie recepty na życie. Niestety, ci ludzie przeważnie korespondują ze swoim wyobrażeniem o mnie, którą zapewne idealizują. Miałam nawet kiedyś przykrą sytuację. Jakaś samotna pani zadzwoniła do mnie prosząc, abym spędziła z nią Wigilię. Nie mogłam. „To pani jest jednak inna, niż myślałam” – powiedziała mi. I ja się rozplakałam.

– Czy któraś znajomość korespondencyjna przetrwała dłużej?

– O tak. Właściwie to się już zmieniło w przyjaźń. Jest taka dziewczyna w Raciborkach, w województwie koszański. Nazywa się Urszula Flis. Rolniczka z zawodu. Piekielnie inteligentna, wrażliwa. Wiele czyta, często ogląda telewizję, słucha radia i ma wewnętrzną potrzebę podzielenia się swoimi uwagami, czasem z aktorami, z pisarzami. Napisała do mnie parę listów, ale tak interesujących, że z przyjemnością odpisałam. Przekształciło się to w stałą korespondencję. Potem poznałam ją, gdy przyjechała tutaj z matką. I zaprzyjaźniłyśmy się. To świetny człowiek, w ogóle.

– Niespełna dwa lata temu uczestniczyłam w Pani spotkaniu z widzami i muszę przyznać, że posiada Pani sporą umiejętność zdobywania sobie ich sympatii.

– Z początku nie lubiłam spotkań, bo mam trudności z wystawianiem się. Potem się jakoś przyuczylam i polubiłam je. W tym, co mnie spotkało, o czym mówiliśmy, nie było ciekawości mojego prywatnego życia, tego, ile mam zmarszczek, z kim żyłam, jak to było. Zdarzały się bardzo interesujące dyskusje, w różnych środowiskach. Może dlatego tak było, ponieważ typ mojego aktorstwa, to jest ten k a ż d y człowiek. Ludzie mogą sobie wyobrazić siebie w sytuacjach, w których mnie widzą. W tym nie ma zresztą mojej osobistej zastugi. Inny aktor jest na niedziele, na święto, a ja na dzień powszedni.